

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 1500 Marek.

Rok XX. Kraków, 12 maja 1923. Nr. 19.

Wielkie święto narodowe w Warszawie

Defilada wojsk przed pomnikiem księcia Józefa po ceremonii odsłonięcia w dniu 3 maja b. r. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Powitanie marszałka Focha w Polsce: Na peronie w Dziedzicach w oczekiwaniu na pociąg wiozący marszałka Focha. Fot. „Rembrandt". Biała.



Powitanie marszałka Focha w Polsce: Na dworcu w Dziedzicach stoją (od lewej ku prawej): Marszałek Foch (z buławą marszałkowską w ręce) min. Sosnkowski i szef francuskiej misyi wojsk. gen. Dupont. Fot. „Rembrandt" Biała.

Powitanie marszałka Focha w Polsce.

Cała Polska z entuzyazmem wyległa na powitanie marszałka Focha. Pierwsze spotkanie nastąpiło w małej mieścinie śląskiej u podnóża Beskidu, w Dziedzicach w d. 2 maja. Już przed g. 7 rano przed dworzec nadjeżdża pułk szwoleżerów bielskich. Za pułkiem tłumy publiczności, które już od wczesnych godzin rannych napływają z okolicznych miejscowości. Na peronie, przystrojonym chorągwiami o barwach polskich i francuskich, kompania honorowa, jeneralicya, przedstawiciele władz, deputacye ze sztandarami i orkiestrami, dziennikarze, fotografowie i operatorowie kin. Dachy budynków kolejowych obsiane robotnikami kolejowymi. Wśród dygnitarzy wojskowych obecni: jen. broni Szeptycki, dowódca D. O. K. Kraków, jen. Czikiel, jen. Galica i szef francuskiej misyi wojskowej jen. Dupont. Przedstawiciel Prezydenta Rzeczypospolitej, rotm. Pusłowski, trzyma w ręku kasetkę z buławą marszałkowską dla marsz. Focha,

Zbliża się g. 7-ma 30. Naczelnik stacyi oznajmia p. ministrowi Sosnkowskiemu, że pociąg minął już stacyę Piotronke. Nerwowe poruszenie. Wreszcie rozlegają się głosy kolejarzy na dachach: „Już jedzie". W oddali ukazuje się pociąg, zbliżający się w szybkiem tempie. Parowóz przybrany w chorągiewki polsko-francuskie, w zieleń i kwiaty. Pociąg wjeżdża powoli na dworzec. Orkiestra gra Marsyliankę. Ostatni wagon, wiozący marsz. Focha, podjeżdża aż do miejsca, na którem stoi jen. Sosnkowski.

Po chwili ukazuje się w drzwiach wagonu marsz. Foch, przybrany w ciemnogranatowy mandur. Rozlegają się okrzyki: „Niech żyje!" „Vive la France!". Marszałek schodzi sprężystym krokiem na peron. Za nim jen. Pergould i świta. Marszałek Foch wzrostu średniego, postać krępa, sprężysty i szybki w ruchach, sympatyczny wyraz twarzy o bystrym wzroku i szumiastych wąsach. Na piersi polskie ordery „Virtuti Militari" i Krzyż Walecznych.

Jen. Sosnkowski przystępuje do marszałka i zdaje mu raport. Następnie wita go następującemi słowami:

„W imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej i Rządu mam zaszczyt powitać Pana, Panie Marszałku Francyi na naszej ziemi. Występując jako członek Rządu, a przedewszystkiem jako wierny syn mego Narodu, znający uczucia swoich rodaków. Polska cała, Panie Marszałku, ceni Pana, szanuje i kocha. Przybywa Pan do Polski, gdzie sławne imię Pana wyryte jest złotemi głoskami między imionami twórców naszej niepodległości.

Ze swej strony armia polska widzi w Panu, Panie Marszałku, nietylko wielkiego wodza, lecz



Powitanie marszałka Focha w Polsce: Marszałek Foch (x) po wręczeniu mu buławy przez min. Sosnkowskiego (xx) na dworcu w Dziedzicach wśród dygnitarzy wojskowych i cywilnych. Szef francuskiej misyi wojsk. jen. Dupont (xxx). Fot. „Rembrandt", Biała.



Powitanie marszałka Focha w Polsce: W chwili wjazdu na peron w Dziedzicach pociągu z marszałkiem Fochem. Fot. „Rembrandt", Biała.

i jednego z pośród swoich wodzów narodowych, któremu w dużej mierze zawdzięcza swój byt. Przysyłając do nas jednego ze swoich bohaterów narodowych, Francya jeszcze raz wykazuje swoją niewzruszoną przyjaźń do Polski i jednomyślność, która nami kieruje, to braterstwo broni, które nas łączy obecnie, jak i w przeszłości. To są te uczucia, które charakteryzują uroczystość narodową, dla święcenia której się zbieramy, a którą Pan, Panie Marszałku, uświetni swą obecnością. W dowód wdzięczności i w zamiarze związania Pana, Panie Marszałku, z narodową historyą, Polska przeznacza dla Pana najwyższą godność wojskową i ofiaruje Panu, Panie Marszałku, buławę Marszałka Polski.

Przy pierwszych krokach na ziemi polskiej, Panie Marszałku Foch, Marszałku Francyi i Marszałku Anglii, mam honor wręczyć Panu dekret mianujący, Pana Marszałkiem Polski, a jako widomy symbol tej godności buławę marszałkowską, którą Prezydent Rzeczypospolitej polecił mi doręczyć w jego imieniu". Po tych słowach p. Minister wręczył marszałkowi buławę i dyplom. Muzyka gra hymn narodowy polski, marszałek Foch, widocznie wzruszony, dziękuje serdecznie.

Jenerał Sosnkowski przedstawia Marszałkowi swoje otoczenie i przedstawicieli Rządu. Następnie Marszałek w towarzystwie jen. Sosnkowskiego odbywa przegląd kompanii honorowej. Potem przechodzi na drugą stronę peronu do delegacyi, które go oczekują ze sztandarami i z orkiestrą kolejarzy. Deputacya kobiet wręcza Marszałkowi bukiet białego bzu. Po przywitaniu się z kolejarzami przechodzi Marszałek do deputacyi górników z szybu „Foch" z kopalni państwowej w Knurowie, w powiecie Rybnickim. Deputacyę przedstawia poseł Korfanty, jako prezes Rady Nadzorczej Kopalń Państwowych. Imieniem górników wita Marszałka jeden z urzędników polskich w języku francuskim i wręcza mu dar górników, mały obelisk, wykonany artystycznie z węgla z wyrzeźbionym u stóp obeliska z węgla legendarnym skarbnikiem kopalnianym. Marszałek serdecznie dziękuje, życząc górnikom, by praca ich wydała najlepszy pożytek dla Polski. Następnie udaje się Marszałek przed dworzec, gdzie przedefilował przed nim pułk szwoleżerów. Rozbrzmiewają gorące okrzyki nieprzejrzanych tłumów.

Tymczasem wagon Marszałka dołączono do nadzwyczajnego pociągu złożonego z 4-ch wagonów. Zbliża się godzina 8-ma rano. Marszałek zaprasza do swego wagonu jen. Sosnkowskiego, jen. Duponta i p. Korfantego. Muzyka gra Marsyliankę. Marszałek staje w oknie i żegna się z ludnością wznoszącą okrzyki: Niech żyje marszałek Foch! Niech żyje Francya! Pociąg rusza. Na szkarpach kolejowych tłumy publiczności wznoszącej okrzyki i rzucającej kwiaty na pociąg, który przyśpiesza coraz bardziej biegu, jadąc ku Katowicom.

Wielkie święto narodowe
w Warszawie.

Tegoroczne święto 3. Maja miało przebieg w całej Polsce imponujący. Ale serce Polski zabiło tym razem naprawdę w Warszawie, gdzie uroczystość ta była połączona z przyjazdem marsz. Focha i odsłonięciem pomnika księcia Józefa Poniatowskiego na Placu Saskim. Napięcie uroczystości narodowych w stolicy można porównać jedynie z obchodem grunwaldzkim w r. 1910. Miały one charakter ogólno narodowy. Była to jedna wielka rewia sił, która wypadła wspaniale.



Wielkie święto narodowe w Warszawie: Podczas salwy 101 strzałów armatnich bezpośrednio po opadnięciu zasłon z pomnika księcia Józefa. Ajen. fot. „Reklama Polska", Warszawa.

O rozmiarach defilady, która, obok samego aktu odsłonięcia pomnika ks. Józefa i aktu dekoracyi, była najsilniejszym momentem uroczystości, świadczy okoliczność, że defilada zaczęła się o godz. 12.15, a końcowy pochód organizacyi Legii Obrony Konstytucyi, zamykającej pochód stowarzyszeń, nastąpił około godz. 5. pop. Publiczność entuzyastycznie witała przedewszystkiem marsz. Focha. Automobil jego zasypywano kwiatami. Nieustannie ulica wznosiła okrzyki na jego cześć.

Od samego rana na ulicach, któremi miał przechodzić pochód, wstrzymano ruch kołowy i tramwajowy. Tysiączne tłumy kierowały się ku Placowi Saskiemu, gdzie miało nastąpić odsłonięcie pomnika. Nieprzeliczone tłumy zajęły wszystkie place i ulice, któremi miał przechodzić pochód.



Wielkie święto narodowe w Warszawie: Przed nabożeństwem oczekują na przybycie prez. Wojciechowskiego: Marsz. Foch, marszałek Piłsudski, jen. Sosnkowski i prez. gabinetu Sikorski. Fot. S. Wolski, Warszawa.



Wielkie święto narodowe w Warszawie: Dekoracya przez marsz. Focha przed pomnikiem księcia Józefa polskich oficerów orderem Legii Honorowej. Fot. S. Wolski, Warszawa.

Uroczystości rozpoczęły się o godz. 9. rano. Przed pomnikiem Mickiewicza i na Placu Zamkowym stanęły oddziały wojsk. O godz. 9.40. przybył przed pomnik Mickiewicza marsz. Foch ze świtą, prezydent ministrów jen. Sikorski, minister spraw wojskowych Sosnkowski i szef sztabu jen. marsz. Piłsudski i zajęli miejsca na prawem skrzydle wojsk, oczekując na przybycie Prezydenta.

O godz. 10-tej przybył prezydent Wojciechowski ze świtą w eskorcie szwadronu przybocznego i odebrał raport, poczem w towarzystwie jen. Sikorskiego, jen. Sosnkowskiego, marszałków Focha i Piłsudskiego i wśród dźwięków hymnu narodowego przeszedł przed frontem wojsk. Następnie wszyscy dostojnicy udali się pieszo do Katedry św. Jana.

U wejścia do Katedry powitał p. Prezydenta po polsku, a marsz. Focha po francusku, ks. kard. Kakowski w otoczeniu wyższego duchowieństwa i przeprowadził ich do prezbiteryum. Z kolei odbyło się uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez kard. Kakowskiego.

O godz. 10.45. członkowie rządu, korpus dyplomatyczny i przedstawiciele najwyższych władz udali się z Katedry na przeznaczone dla nich miejsca na Placu Saskim. W kwadrans później udali się na Plac Saski prem. Sikorski z marsz. Fochem i kard. Kakowski z marsz. Piłsudskim, poczem przybył tam Prezydent Rzeczypospolitej. P. Prezydenta powitało prezydyum komitetu odsłonięcia pomnika. Plac Saski był przystrojony niezwykle bogato. Nad placem krążyło 16 samolotów. Na podniesieniu, przygotowanem dla p. Prezydenta, zasiedli po lewej stronie prez. ministrów Sikorski, po prawej marszałkowie: Foch i Piłsudski.



Wielkie święto narodowe w Warszawie: Straż honorowa pomnika księcia Józefa w strojach historycznych. Fot. S. Wolski, Warszawa.

Natychmiast po zajęciu miejsc rozpoczęła się uroczystość odsłonięcia pomnika. Uroczystośc zagaił prezes komitetu wykonawczego budowy pomnika, Czartoryski. Następnie Prezydent Rzeczypospolitej dokonał odsłonięcia pomnika. Wśród dźwięków hymnu narodowego opadły płótna i w blaskach słońca ukazała się spiżowa postać ks. Józefa Poniatowskiego. Jednocześnie bateryе, ustawione za arkadami Placu Saskiego, dały 101 strzałów, a wojsko prezentowało broń. U stóp pomnika stała straż honorowa w mundurach różnych rodzajów broni z czasów ks. Józefa. W tłumach rozlegały się nieustające, entuzyastyczne okrzyki.

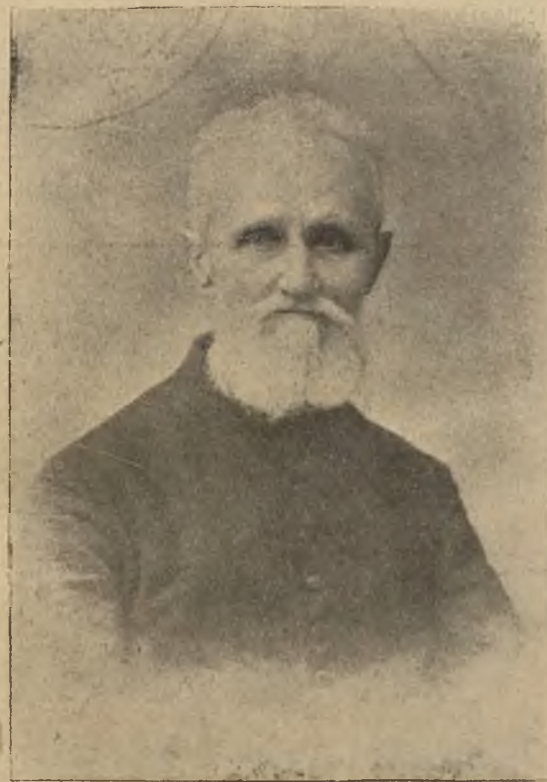
Gdy umilkły strzały, na trybunę wstąpił minister spraw wojskowych Sosnkowski i wygłosił przemówienie, a po nim przemawiał prezes Rady m. Baliński. Następnie odbyła się dekoracya wojskowych i cywilnych osób odznakami Legii Honorowej przez marszałka Focha. Uroczystość zakończyła się defiladą, którą rozpoczęła delegacya bajończyków. Po godz. 2.05. ze względu na intenzywny przebieg uroczystości, pochód przerwano. Prezes ministrów i marszałek Foch opuścili plac, poczem pochód odbywał się w dalszym ciągu.



Wielkie święto narodowe w Warszawie: Przed defiladą w Belwederze po uroczystości ozdobienia marsz. Focha orderem *Virtuti Militari.* Stoją od lewej ku prawej: Jen. Żeligowski, jen. Sikorski, marsz. Piłsudski, marsz. Foch i prezydent Wojciechowski. Fot. S. Wolski, Warszawa.

Jubileusz zasłużonego kapłana.

Krakowskie Kollegium O. O. Zmartwychwstańców obchodziło w dniu 18. kwietnia b. r. pięćdziesięciolecie święceń kapłańskich ks. Pawła Smolikowskiego, jednego z najzasłużeńszych i najczynniejszych członków tegoż Zgromadzenia, długoletniego rektora Kollegium Polskiego w Rzymie, pozatem wybitnego historyka, zwłaszcza, o ile to dotyczy spraw Zakonu.



Jubileusz zasłużonego kapłana: Ks. Paweł Smolikowski, członek Zakonu OO. Zmartwychwstańców.

Ks. Paweł Smoiltkowski, urodzony w Twerze, po ukończeniu gimnazyum warszawskiego, gdzie był uczniem śp. Juliana Bartoszewicza, rozpoczął

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

Dokończenie.

Nagle przyszło jej na myśl, iż Feliks może mieszka wspólnie z jakim kolegą.. A wtedy co robić?... jak się zachować?... czem wytłómaczyć swoje przyjście?...

Dr Pelagia Wyrobkówna otrzymała w swojem życiu kilkanaście zaszczytnych odznaczeń naukowych, ale w sprawach miłosnych nie miała najmniejszej praktyki...

Zapóźno było już jednak zastanawiać się nad tem w chwili, gdy stała przed drzwiami, zaopatrzonymi w bilet wizytowy! „Feliks Rawski — słuchacz uniwersytetu".

Serce jej biło tak mocno... tak mocno... Zebrała całą swoją odwagę... i zapukała leciutko... nieśmiało...

Żadnej odpowiedzi... Może go niema w domu?...

Zapukała drugi raz, ale już trochę mocniej.

— Proszę!... — ozwał się głos z wnętrza pokoju...

Weszła. Znalazła się w małym pokoiku, umeblowanym bardzo skromnie, ale czystym i zdradzającym nawet pewną staranność o estetyczny wygląd.

Na ścianach reprodukcye dobrych obrazów, książki na etażerce porządnie poukładane... łóżko biało zasłane...

Drowi Wyrobkównie zaszumiała w mózgu piosenka, którą kiedyś w jakimś kabarecie słyszała:

„Pokoik taki mały
Dwa kroki wzdłuż i wszerz —
Krzesełka dwa w nim stały
Łóżeczko białe też..."

Akademik widocznie oczekiwał na kogoś... Świadczył o tem duży bukiet jaśminu w wazie, naśladującej antyczną i stół nakryty na dwie osoby... Karafka rumieniła się jakimś ponętnym likierem... na papierowej tacce ciastka... na małym półmisku przekaski... dwa talerzyki... dwa kieliszki... dwa widelce... dwa noże...

Dziwny jest ten organizm ludzki!... Dr Wyrobkówna przyszła tu w stanie ekstazy, wykluczającej zda się wszelkie poziome zachcenia, a oto widok tej zastawy — rozbudził w niej poczucie, że jest bardzo głodna... bo nie jadła dzisiaj ani śniadania ani obiadu...

Długa chwila kłopotliwego milczenia. Młodzieniec z nieukrywanem zdziwieniem spoglądał na gościa..

— Czem mogę pani służyć?...

— Panie...

— Pani?...

— Pan mnie nie zna, a raczej nie poznaje...

Rzeczywiście twarz te: dziwnej jakiejś istoty, kogoś mu przypomina... Ale kogo?.. Aha!... podobna jest do dra Wyrobkówny... do nieboszczki dra Wyrobkówny...

— Rzeczywiście nie przypominam sobie, abym miał przyjemność...

— Widzi pan — to tak... albo nie... to jest...

Feliks rzuca spojrzenie na tarczę zegarka stojącego na małem biurku pod ścianą... Jest wpół do czwartej... Lada chwila może nadejść Hela... a gdyby tu zastała tę kobietę...

— Doprawdy ja mam tak mało czasu... Pani wybaczy... Ale chciałbym wiedzieć, co panią właściwie tu...

— Co mnie sprowadza?!... — woła już z zuchwałością rozpaczy kobieta — Miłość?!

— Miłość?!

— Tak, bo ja pana kocham!... Poświęciłam dla ciebie wszystko!.. wszystko!... całą moją przeszłość!... przyszłość!... dobrobyt!... Ile przecierpiałam!... Ale teraz jestem tutaj!... Kochaj mnie!...

Student cofa się przestraszony nieco a zarazem rozbawiony. Sam nie wie czy ma się śmiać czy irytować — czy też może zatelefonować z najbliższego aparatu po Pogotowie Ratunkowe...

— Kochałeś inną — wiem!... Pustą, marną dziewczynę, która poświęciła ciebie — dla pieniędzy — dla Geldsznupera!.. Pogardzasz nią teraz!...

— Przepraszam panią, przedewszystkiem dlaczego mi pani mówi ty, po drugie wcale nie pogardzam, bo wiem, że biedne dziewczę inaczej postąpić nie mogło, ale kocha mnie zawsze — a po trzecie — kto panią upoważnił do wtrącania się w nieswoje sprawy... I wogóle kto pani jesteś!...

— Jestem — miłość!..

— No, dziękuję!... — ja sobie trochę inaczej miłość wyobrażałem!..

— Słuchaj!... nie chciałam mówić, bo bałam się, że nie uwierzysz!... ale teraz powiem!... Jestem odmłodzona dr Pelagia Wyrobkówna!... Zrobiłam to dla ciebie!... dałam się odmłodzić!... dla ciebie!.. bo cię kocham!...

Feliks przekonany jest już teraz, że ma do czynienia z waryatką.. A może to jakaś złodziejka, szantażystka.. W każdym razie trzeba się jej pozbyć jak najprędzej...

— Proszę pani, jeżeli pani w tej chwili nie odejdzie — to zatelefonuję po policyę!..

— Ja mówię prawdę!... Wierzaj mi!... Ko...

— I po budę ratunkową!...

Posuwa się w stronę drzwi ruchem tak stanowczym, że jasnem się staje, iż pogróżkę swą wykona... Uznają ją za waryatkę... nikt jej nie uwierzy — nikt!... A Feliks nie kocha jej... i nie pokocha!..

Złamana... zgnębiona ucieka z tego pokoju, który miał być dla niej miłości pierwszej rajem..

Na ciemnych schodach potyka się znowu, raniąc drugie kolano i łokieć prawej ręki...

Na ulicy — przed domem zatrzymuje się dorożka — pomimo pięknej letniej pogody z podniesioną budą... Z dorożki wyskakuje kobieta w kapelusiku nasuniętym głęboko na oczy, o twarzy przysłoniętej gęstą woalką... Mimo tego usiłowanego zamaskowania rysów — dr Pelagia Wyrobkówna poznaje Helę... Dziewczyna już znikła w bramie..

— Aaa!... to tak!... Podła!... Podły!...

Zemścić się!... zawiadomić Geldsznupera!... ale jak?... osobiście? to zanadto ryzykowne?... na list i ekspresa skąd wziąć pieniędzy?...

Wzrok jej pada na szyld na przeciwległej stronie ulicy: „Apteka pod Zielonym Słoniem"...

Telefon!... jednak w młodym wieku myśli się, działa szybciej...

— Czy można zatelefonować?

— Do doktora?

— Tak, do doktora...

— Proszę bardzo...

Gorączkowe poszukiwania w książce abonentów... Potem kilkuminutowe bezcelowe dzwonienie do centrali...

— Hallo!... Centrala?... Hallo!... proszę mnie połączyć z numerem 21-395. Hallo!... pan Geldsznuper? wszystko jedno! Pańska narzeczona pana zdradza... Jest w tej chwili u swego kochanka... Nazywa się Rawski... Ulica... Numer... Czwarte piętro...

Rzuca słuchawkę i wybiega z apteki... Goni za nią wołanie aptekarza:

— Proszę pani, za użycie telefonu należy się...

ROZDZIAŁ VII.

Odmłodzona dr Pelagia Wyrobkówna idzie przez ulicę chwiejnym krokiem, popychana co chwila przez przechodniów... Ten i ów zawadzając o nią, mruczy ze złością;

— Cóż to za niezgrabidło!... Chodzić po ulicy nie umie...

A ona nie wie co ma teraz począć ze sobą... Boli ją serce... bolą potłuczone kolana i łokcie... Kapelusz przekrzywił się jej na głowie, gwiazda przewodnia zgasła... co teraz począć?...

Za tydzień... za dwa... za trzy... — może powróci do swej dawnej postaci i wieku... Wtedy udowodni z łatwością, że jej nie zamordowano... Lecz teraz... do domu Żureckiej nie powróci... bo gdyby jej przyszło jeszcze raz spojrzeć na Helę...

O! Feliksie!... niewdzięczny!... podły Feliksie!...

Głód wszakże zaczyna dokuczać jej tak silnie, że symfonia, wygrywana przez puste kiszki, przygłusza pieśń rozpaczy miłosnej...

Na szybie jakiejś drugorzędnej jadłodajni wypisano: "Dzisiaj flaki". Za szybą masarni uśmiechają się różowe szynki i pękate salcesony... A ta przeklęta Hela zajada sobie tam przekąski i ciastka, przygotowane przez Feliksa... Dr Pelagia w tej bodajże chwili jej najbardziej zazdrości — tych kanapek z szynką i serem...

Machinalnie idąc — instynktownie kierowała kroki w stronę swego dawnego mieszkania, w stronę domu, który był przecież jej własnością...

Przed bramą willi na ławce, wygrzewając się w słońcu siedział stróż Wincenty...

— Dzień dobry...

— Dzień dobry, a co to pani szuka kogo?...

— Chciałabym się widzieć z drem Wyrobkówną...

Stróż smutnie pokiwał głową.

— O!... to pani nie wie, że nasza biedna pani nie żyje... A jakże!... Zamordowali ją hycle... Taki piękny był pogrzeb...

— A kto tutaj teraz mieszka?...

— A to „famielia" nieboszczki... Krewniaków się nazbiegało — zwyczajnie do spadku... — choć to wszystko, mnie się zdaje, żerdź po płocie...

Dr Wyrobkówna, która istotnie żadnych bliskich krewnych nie miała — musia a uznać zdrowy sąd Wincentego... Ale co dalej?... Nic się tu na razie zrobić nie da...

— Do widzenia...

— Całuję rączki, pani... — skłonił się stróż, który spodziewał się jakiegoś datku, a nie otrzymawszy go — splunął z pogardą...

Dr Wyrobkówna, odchodząc od swego własnego domu — jak bezpański pies, nie spostrzegła, że od muru na przeciwległej stronie ulicy oderwała się postać mężczyzny, który jął postępować za nią...

Wogóle umysł jej — zajęty przedewszystkiem myślą: skądby tu wyrwać co do jedzenia mało skłonny był do wszelkich innych obserwacyi.

Wieczór się już zbliżał, a tu żadnej nadziei na kolacyę i nocleg...

Dr Wyrobkówna nieraz słyszała i czytała o tem, jak to bezdomni ludzie zmuszeni są nocować na ławkach w ogrodach publicznych, w niedokończonych budowlach, pod mostem... I teraz ona miałaby zejść do rzędu włóczęg i żebraków?!...

Nagle — co za szczęśliwa myśl!... Wszak pozostał jej medalion ametystowy, jedna jedyna pamiątka — z czasów przed odmłodzeniem... Medalion ten sprzedać można, a za uzyskane pieniądze zjeść cokolwiek i zapłacić kąt do spania.

Szybko rozwarła delikatny złoty zameczek, i zdjęła medalion ze szyi. Szła teraz raźno w stronę Śródmieścia, nie zauważywszy, że ktoś idzie krok w krok za nią i śledzi każdy jej ruch.

Przed pierwszym lepszym sklepem jubilerskim zatrzymała się, zamierzając... W tem uczuła na swojem ramieniu — ciężką rękę.

— Stój! panienko!... A skąd to panienka ma ten medalion?!

Obejrzała się przestraszona:

— Czego pan sobie życzy? To mój medalion!

— Aha!.. „mój" ale skąd się to przyszło do posiadania tego cacka?!...

Dr Wyrobkówna próbowała zdobyć się na energię.

— Jakiem prawem pan pyta?!...

— Jakiem prawem?!... zaraz się aniołku dowiesz na policyi jakiem prawem!... No, mam ptaszka w klatce!... Już my teraz dojdziemy, kto zamordował dra Wyrobkównę!...

Zrozumiała, że ją posądzają o zamordowanie samej siebie.

— Panie! pan się myli!...

— No, pogadamy na policyi!...

— Nie pójdę!...

— Tak?... radzę nie rezonować, bo nałożę branzoletki na rączki!..

— Panie!... to jest straszne nieporozumienie!... Bo to właśnie ja jestem dr Wyrobkówna.. tylko odmłodzona przez dra Riki-Tiku!...

— Oho!... mamy i doktora Riki-Tiku!... On już siedzi pod kluczem!... Znaleziono u niego rzeczy dra Wyrobkówny... Tylko, że on nikogo nigdy nie odmłodził i nie nazywa się dr Riki-Tiku tylko Franek Kręcik!... A jego asystentka znana policyi oddawna — jako „Czarna Walka"... Teraz — bez gadania iść ze mną!...

Dr Wyrobkówna odskoczyła, szarpnęła się, potknęła i padła, uderzając tak silnie głową o bruk, że...

— — — — — — — — — — — — — — —

Dr Pelagia Wyrobkówna otworzyła leniwe oczy — zmętniałe jeszcze od snu... Siedziała przy tem samem oknie, w tym samym fotelu, w którym zasnęła wczorajszego wieczoru...

Przed nią w blaskach porannego majowego słońca stał Feliks Rawski i kłaniał się grzecznie

— Przyniosłem skrypta.

Spojrzała na niego zimno i z góry.

— Proszę zostawić!... rzekła sucho — dam znać, kiedy będzie gotowe!...

— Zarznąłem się!... — pomyślał skonsternowany student — obraziła się wczoraj!... Z moją fizyką — klapa!...

KONIEC.

J. PICKOWNA.

TAJEMNICZY WĘZEŁ

I.

Z Harapandy do Frälleborga!

...Nie pojmie nikt, ile w tych kilku wyrazach mieści się szczęścia, szczęścia tak wielkiego, tak oszałamiającego, iż graniczy ono nieomal z bólem, nie pojmie nikt, kto nie spędził kikunastu miesięcy, ba... nawet lat paru w niewoli rosyjskiej, w upokorzeniu, niedostatku, niepewności jutra, w bezczynności, jak kwas gryzący, trawiący siły mózgu i mięśni, w tęsknocie i trosce o najbliższych, częstokroć bez wieści od nich. Lecz aby zrozumieć, wystarczy spojrzeć w twarze tych biedaków, powracających do swoich drogą wymiany.

A pociąg pędzi, pędzi wśród szwedzkich lasów, które zazdrośnie kryją oczom przejezdnych wnętrze kraju, tego kraju, dla którego odczuwają oni wdzięczność i sympatyę zato, iż jest mostem pomiędzy Rosyą a ojczyzną.

Ci powracający, umundurowani jednako (wyjątek stanowi kilka tureckich fezów) lecz różnojęzyczni, są dziwnie cisi — możnaby ich raczej wziąć za ludzi przygnębionych niż radosnych. — Ogrom szczęścia przytłoczył ich, przytem przyszło to wszystko tak niespodziewanie... Nastąpiła reakcya. Nerwy zapadły w letarg a wielkie, senne zmęczenie przeważa nad wszelkiem uczuciem. Ciężko jest pojąć, że to naprawdę, trzeba całego wysiłku mózgu, aby uświadomić sobie rzeczywistość.

Nieinaczej ma się rzecz z młodym człowiekiem, który wciśnięty w kąt przedziału, zdaje się drzemać, głowę bowiem wsparł o poduszki i powieki ma przymknięte. Jest to głowa ani piękna, ani tem mniej charakterystyczna, możnaby rzec nawet pospolita, gdyby nie jakieś szlachetne piętno dobroci, spokoju i zdrowia moralnego. Stanisław Okęcki może liczyć lat trzydzieści jeżeli nie więcej, szczupły lecz o rozrożystych barach, o twarzy ściągłej, nieco wystających kościach jarzmowych, ciemnej czupurynie, na skroniach zlekka przyprószonej pleśnią siwizny, a gdyby rozwarł oczy, ujrzelibyśmy dwoje źrenic wodnisto-zielonych, których narzucającym się wyrazem, jest zdumiewająca u człowieka dorosłego dziecięca szczerość. Dość jednego spojrzenia, aby ocenić, iż mimo śladów moralnych i fizycznych przejść to zdrowy typ wiejskiego obywatela, uosobienie jasnego optymizmu, pokrewnego z ziemią i przyrodą, które beztroskie, zawsze jednakie z niewzruszoną filozoficzną głębią wydają zieleń, kwiat i owoce i tracą je jesienią, aby zakwitać z nową wiosną.

Okęcki to natura prosta i nieciekawa, jedna z tych natur, co szczerze, impulsywnie kochają, co życie całe gną się przed powagami, staremi tradycyami, ideałami, które jeszcze w latach dziecięcych ustawiono w kapliczce ich serca, taka dusza, co zna tylko ten ból, który idzie od zewnątrz, ze świata, ale w sobie spokojna jest i wolna od jadu, taka dusza nieglęboka, nieskomplikowana ale prawa.

Jeśli Okęckiemu dobrze na świecie raduje się, obojętny na dzień jutrzejszy... jeśli źle... pociesza prostą maksymą, że po złem następuje dobre a każdemu człowiekowi przeznaczona w życiu pewna suma szczęścia, która go nie ominie.

Za ten słoneczny optymizm bywał powszechnie lubiany w obozach jeńców, gdzie współtowarzysze z zdumiewającym talentem zatruwali sobie wzajemnie i tak już gorzką dolę, pesymizmem, waśniami osobistemi, oszczerstwem lub bezpłodnemi dysputami politycznemi, które w atmosferze napiętych najwyższe tony nerwów, przybierały nierzadko zabarwienie burd karczemnych.

Trzeba było wiele wewnętrznej siły, aby w tych warunkach i w tem otoczeniu nie uledz zniechęceniu i depresyi, zwłaszcza, kiedy otwarła się stara źle wyleczona rana... Ale Okęcki otrząsał się z tego wszystkiego.

— Wiem, że nie zdechnę tutaj — mawiał z uporem — ktoś czuwa nademną, Opatrzność czy moje szczęście, wszystko jedno, ale wierzę w to od chwili, jak...

Tak, tu potykał się zawsze na tem niezwykłem wspomnieniu, które tak często i z taką siłą nasuwało mu się.

A teraz młody człowiek nie śpi, lecz myśli, myśli jego wloką się leniwie, jednak dziwnie elastycznie odskakują wciąż od kierunku, który usiłuje im nadać...

„Wracam do swoich... Wanda..."

Ci „swoi" skupili się w tem jednem imieniu dziewczęcem, brata stracił w pierwszych potyczkach, rodzice zmarli jeszcze przed kilku laty — w kraju nie czekało go nic prócz rodzinnego domu.. i Wandy. Ale to było bardzo, bardzo wiele.

I oto Okęcki chce myśleć o narzeczonej i chce się radować nadzieją powitania więc zbiera, zgania myśli i pędzi je przemocą ku ukochanej dziewczynie, lecz one, ziewnąwszy nudą, rozpraszają się i zapadają w bezwolną, mdłą zadumę.

Okęcki nie pojmuje sam siebie (może to po raz pierwszy zdarza się w jego życiu), tęsknotą serdeczną rwie się do Zagajów, lecz postać Wandy otuliła się w mgłę i wspomnienie jej dziwnie nieme, bezbarwne.

Trzy lata rozłąki, trzy długie, ciężkie, gorzkie lata... Od chwili popadnięcia w niewolę ani jednej wiadomości z kraju ale też, zakopany w najdalszych kresach Syberyi, podzielał los ten z wielu innymi.

„Wanda... Wanduś.." — powtarza w myślach i jak wielokroć nadaremnie stara się przed swemi oczyma wywołać wizyę tej wdzięcznej główki. Więc przypomina sobie ów kipiący wesołością wieczór sylwestrowy, na którym spotkali się po raz pierwszy, kiedy to w głowie szumiało mu wino, oczy śmiały się do ślicznej sąsiadki przy stole a w pamięci przyplątał się niewiadomo skąd czytany niegdyś wiersz i krążył koło uszu, jak brzęk natrętnej muchy: „I szumi las w mej duszy! Hej szumi w mej głowie.." Więc przypomina sobie krótkie pasmo zdarzeń przed i narzeczeńskich i chwilę rozstania w cudny wieczór sierpniowy i słowa jej: „nigdy... nigdy!", gdy zarzuciła mu ramiona na szyję a on prosił: „nie zapomnij Wanduś..."

Więc przypomina sobie i powtarza, że Wanda włosy ma ciemne, w których przewijają się miedziane płomyki i źrenice głębokie, nieuchwytnej barwy, tlejące wiecznym czarem wesołości tajemniczej i pustej zarazem i czoło nizkie i szeroko zarysowane, czarne brwi i śliczny swawolny a zalotny uśmiech. I to uderzające podobieństwo z Lady Hamilton pendzla Romneya. Tak przypomina sobie, pamięta każdy szczegół, każdy rys — ale to są puste wyrazy, puste pojęcia, które nie suggerują, nie narzucają wyobraźni obrazu, które pozostają czemś abstrakcyjnem, oderwanem, czego nie podobna ułożyć w całość.

Gdyby posiadał jej fotografię, Stanisław czuje, że wszystko byłoby inaczej... Lecz tę utracił już bardzo dawno, podczas jednej z rewizyi, przeprowadzanych w mieszkaniach jeńców, zabrano ją wraz z wszystkiemi papierami.

Okęcki męczy się nadaremnie i zaciska powieki, chcąc marzyć o ukochanej, to w tej chwili dzieje się coś, co wprawia go w zdumienie już od wielu miesięcy... Oto w miejsce Wandy przed oczyma jego staje drobna, wiotka postać dziewczęca o bledziutkiej twarzy i okrągłej, grotgerowskiej główce, opiętej w ósemkę ciężkich kasztanowatych warkoczy.

Zosia!... siostra Wandy, na którą nigdy nie zwracał baczniejszej uwagi, na którą zresztą w obecności Wandy, uosobionego, płomiennego krzyku życia i radości, niepodobna było zwracać uwagi. Nie potrafiłby określić, czy Zosia ładną była czy brzydką, wiedział tylko, że była bardzo cichutką, że prawdopodobnie musiała być bardzo ograniczoną, bo odzywała się mało i z ogromną nieśmiałością, że poprostu nie istniała ..

Pamiętał jeden tylko krótki moment w którym zainteresowała go nieco, było to w ów wieczór, kiedy odjeżdżał na wojnę. — Podeszła ku niemu i podając dłoń na pożegnanie, rzekła z zastanawiającem czuciem, mocą i powagą dwa tylko słowa: „Szczęść Boże!" Napozór zwykłe wyrazy ale w najzwyklejszy wyraz można włożyć bardzo wiele. A kiedy spojrzał jej w oczy, ujrzał, że miała źrenice szkliste, jakby w łzach roztopione...

I odjechał, a potem zdarzyło się „to" dziwne. Było to w trzecim miesiącu wojny, wraz z dwoma, innymi oficerami nocował w małej kapliczce, do której schronili się przed deszczem. Noc była jesienna, dżdżysta, wietrzna i przenikliwie zimna. Usnął na ziemi, zwinąwszy koc pod głową. I we śnie zjawiła mu się Zosia, ną jedno okamgnienie — wyraźnie, jak żywa. — Rozkazującym gestem wskazała ręką na drzwi i zniknęła. Obudził się i widzenie tak było mocnem, iż nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zerwał się i wybiegł z kaplicy. Nie zdołał jeszcze otrzeźwieć, gdy w pobliżu rozległ się wstrząsający huk — granat wpadł do budynku, rozwalając całą ścianę.

Jednemu tylko człowiekowi opowiedział Okęcki to zdarzenie — był nim ksiądz wojskowy, z którym spędził kilka miesięcy w jednym obozie. Ten wysłuchawszy, rzekł: „ktoś tam, w kraju modli się za panem bardzo gorąco..." Te słowa utkwiły głęboko w pamięci młodego.

Okęcki myśli, myśli.. Zapada wieczór, za oknami wagonu niebo staje się modre, wytryskają tu i ówdzie anemiczne zdziebełka gwiazd a potem niebiosa czernieją, gwiazdy rozkwitają w wielkie, złote kwiaty i gonią, całe ich miliony gonią za pociągiem w ślad...

Jednostajny, miarowy łoskot kół, czasem przeciągły gwizd i znów jednostajny, miarowy łoskot.

Towarzysze w przedziale śpią w najlepsze, wcisnąwszy brody w kołnierze od płaszczów a czapki na oczy. I Okęckiemu kleją się powieki...

A pociąg pędzi, pędzi co mu sił w piersiach, z północy na południe, z Haparandy do Frälleborga!..

II.

Bo były takie prababki... takie drobne dziewczynki, wiotkie i szczupłe ginące w szerokich krenolinach, o opiętych stanikiem wąskich piersiach, o małych, okrągłych główkach w gładkich, grotgerowskich fryzurach.

Takie dziewczynki o wielkich, bezdennie dziecięcych oczach i zdziwionych, rozchylonych ustach, całujące pokornie dłoń pani-matki i dłoń spowiednika i wiernie zaklęte wobec wszechmocy patryarchalnej ojca... Takie drobne, blade dziewczynki były jak słabe porosty, mocą nikłych korzonków, przetrzymujące ogromne gmachy. Takie dziewczynki w polskich, wiejskich dworzyskach, na tle starych mahoni i zczerniałych portretów i biustu Napoleona i odwiecznej alei lipowej.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Takie dziewczynki z złotym krzyżykiem na szyi... Takie co jak ptaszęta zaklęte, stulają wątłe ramionczka i dłońmi splecionemi przyciskają trwogą rozdygotane serce i chronią siebie i swoich tym jednym gestem pod skrzydła Boże... Takie cichutkie dziewczynki, cichutkie narzeczone, co modlitwą swą, jak białe Anioły Stróże, biegną w ślady ukochanych, takie uległe żony, ofiarne matki, takie dostojne matrony i babki...

A one były jak słabe porosty...

Ale mocą swych nikłych korzonków przetrzymywały ogromne gmachy...

— — — — — — — — — — — — — — — —

A moje małe, blade dziewczynki... już tylko omszone głazy, gdzie biły ciche, kryształowe źródełka...

Jak smutno, smutno... I wspomnienie wasze rozwiewną legendą...

Wnuczki wasze nie mają już dziecinnych oczu i zdziwionych ust — wasze wnuczki nie dziwią się niczemu.

I tak być musi.

Zapadły wrota — droga powrotu zamknięta i dobrze tak, bo one, jak wy, żyć już nie potrafią.

Na walkę, na bój idą zbrojne świadomością... Idą silne, dumne napozór... Pochód człowieka-kobiety.

Te świadome, te co sondę zapuściły do rdzenia życia, te z piórem, czy lancetem w dłoni, te z sal uniwersyteckich i z prosektoryów, te w myśli... przytulają się do kolan waszych i skarżą się i płaczą — choć nie wiedzą, co mam powiedzieć. A prababki, wycieplarnione kwiaty, nie zrozumiecie, że tak musiało być!.. Nie zrozumiecie, że są siły mocne jak przeznaczenie, że stopy ludzkie wiecznie krwią znaczą i znaczyć będą krzywą helikoidalną...

Więc wnuczki wasze, choć powrócić nie chcą i nie mogą, przytulają się myślą do kolan waszych i skarżą się i płaczą i słodko im myśleć o was, gdy bardzo są zmęczone świadomością... i w godzinach zmierzchów marzy im się spokó

starych dworków i spokój waszych nieobudzonych, gołębich serc.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

A znałam przecież taką współczesną, cichą dziewczynkę...

Wychowała ją wieś i stary dwór i babka-staruszka więc była anachronizmem dwudziestego wieku. I jak każdy anachronizm omijano ją niby istotę martwą, przechodzono koło niej obojętnie, jak koło zczerniałych portretów, jak koło drzwi babuni, nie wychodzącej prawie nigdy z swego pokoju.

Bo wśród większości ludzi, płynącej w wartkiej fali życia nie wzbudzają zainteresowania starzy ludzie, stare książki, stare piosenki i stare meble... I smutno jest ludziom-anachronizmom.

Znałam jedną taką współczesną dziewczynkę.

III.

Przedwczesny zmierzch zimowego popołudnia zsuwał się na ziemię, jak wielka, szerokoskrzydlata ćma. Od kilku godzin szalała zadymka. Z ciężkich, szarych chmur sypał śnieg, sypał bez końca... Poznikały drogi i ścieżyny, w rozdygotanem przestworzu wzrok nie odróżniał kościoła od dworu, dworu od chaty — wszystko zapadło w śnieżne lawiny, zmalało i jakby skurczyło się w sobie.

W zagajowskim parku gałęzie obłamywały się własnym ciężarem i wicher rozwłóczał je po ziemi, ogromne, białe przestrzenie zaledwie tu i ówdzie znaczyły się głębokiemi śladami, które wyryły biegnące szybko w kilku kierunkach stopy ludzkie, ale i te z błyskawiczną szybkością coraz na nowo śnieg zasypywał.

A dwór stał sobie po pas w śniegu, siwiutki pochylony starowina, na kolumienkach werandy niby na kulach wsparty, patrząc przed siebie jednem, jedynem oświetlonem okienkiem kuchni, w gzymsy obielone niby w rzęsę i w brew ujętem. To jedyne oko staruszka apatyczne było i mętne, bo parą zaszłe.

Zresztą mroczne były pokoje i dom jakby wyludniony, bo pani Marta z córką i cała służba kobieca zgromadziła się dnia tego przy ognisku, ojciec zaś nie powrócił jeszcze z miasta.

Tylko na pięterku siedziała sobie samotnie babcia w swym fotelu, jużto robiąc pończochę, już spoglądając w okno i dumając nad tem, jak to dawniej bywało w takie dnie. Tak, bo babcia czuła, że na ziemię spływa z zapadającym wieczorem święto Bożego Narodzenie i babci było trochę smetnie, trochę rzewnie a trochę uroczyście i cieszył ją biały śnieg, bo choć to już nie to, co dawniej, ale śnieg być powinien.

Zegar na komodzie uderzył pod szklanym kloszem cztery razy, a po chwili z dołu odpowiedziały mu dwa inne, jakby przedrzeźniając zmienionemi głosami. I znów zapadła cisza, tylko drewniane schody zaskrzypiały pod ciężarem czyichś kroków, wiatr zatrzasnął jakieś drzwi, ktoś krzyknął w ogrodzie. W piecach jęczało cicho przeciągle.

— Taka zadymka — pomyślała z troską babcia — czy też im tylko piec w kuchni nie dymi, tego brakowałoby jeszcze...

Zastanowiła się, czy nie zejść i nie zajrzeć do nich, ale przykryła tylko lepiej nogi szalem, poprawiła się w fotelu i spostrzegła, że opadły oczka z drutów.

Ponieważ szarzało coraz bardziej, babcia odłożyła robotę i ujęła w palce sędziwy, czarny różaniec, przesuwała jednak ziarnka coraz machinalniej, spoglądając wciąż w okno na oszalałe płatki, co chmarą leciały, leciały wciąż i wciąż łopotały o szyby, jak roje strwożonych, tłukących skrzydła motyli.

I staruszka myślała, że tak samo srożyła się zadymka przed... zaraz... przed pięćdziesięciu i dwu laty... Dom pełen był gwaru i przygotowań, zapachu pieczywa, choiny i jabłek — i tylko ona jedna usłyszała dźwięk dzwonków u sanek. A potem do sieni cały ośnieżony, w ogromnych baranicach wszedł młody sąsiad. Białe miał futro i brwi i rzęsy, aż roześmiała się i klasnęła w dłonie na ten widok — babcia pamięta to doskonale. Potem od podniósł jej małą rączkę do mokrych, ogromnych wąsów, a ona zarumieniła się aż po włosy, potem on wypowiedział komplement, dotyczący jej urody zawsze, a w szczególności w dniu dzisiejszym (choć w sieniach dosyć było mroczno), a potem siedzieli w salonie pod popiersiem Napoleona i... oświadczył się. — Wieczny odpoczynek... — szepcze babcia i rozgniata palcem, wykręconym artretyzmem łzę pod okularami, które równocześnie zasuwa wysoko na czoło.

I znów powraca do swego różańca, aby po chwili podnieść głowę nadsłuchując... zdaje jej się, że to lekkie stąpanie wnuczki po schodach... Lecz nie.. Zosia dziś taka zajęta... Zosia, biedna Zosienka — myśli babcia — cóż to za młodość... myśmy przetańczyły naszą, a ona ot snuje się po domu, jak ten cień, bledziutka, smutniutka... Oni wszyscy nie wiedzą co dziewczynie, ale ona, stara babcia wie... I przed oczyma staruszki majaczeje dziarska postać Stacha Okęckiego, jego poczciwe oczy i serdeczny uśmiech dobrego chłopaka. Ot tak, tak.. — kiwa babcia głową, a potem szepcze: „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie...".

I znów przesuwa ziarnka różańcowe.

Tymczasem tam na dole Zosia cała rozgrzana i różowa wybiega na spotkanie ojca. Wraz z nim wpada do sieni cały tuman śniegu i wichury.

— Zośka powiedz matce, — wita ją ojciec — że Wiktorowie nie przyjadą na wilię, spotkałem w drodze Antka z listem, Wanda zaziębiona.

Lecz Zosia nie biegnie zaraz do matki, oparła się o ścianę w ciemnej sieni i oczy nabiegły jej łzami, zresztą dziś dzień cały oczy jej o byle co toną we łzach.

— Mój Boże... i Wanda nawet nie przyjedzie, jeszcze smutniej dziś będzie, jeszcze smutniej...— szepcze gorzko sama do siebie.

— Zosiu, gdzieś ty się podziała? — dolatuje z kuchni podniesiony głos matki. — Przynieś cynamonu, a zaraz... w kredensie, na półce, na prawo!

Dziewczyna przebiega przez szereg nieoświetlonych pokoi, w drodze zapomina już o zleceniu i wreszcie zatrzymuje się aż w swojej sypialni. Na chwilę staje w zadumie przy oknie. Wiatr ustał prawie zupełnie, a w powietrzu wirują zaledwie drobniutkie pyłki srebrne. Park niby zaczarowana grota w biel i tęczowe blaski spowita — jakoś cicho, uroczyście, odświętnie. Z za kotary niebios tu i ówdzie wysuwają się, mrugając figlarnie, ciekawe oczęta gwiazd, trochę zdziwione, trochę olśnione, niby oczęta bożych aniołków, swawolnych dzieciaków, co to chyłkiem, przez szpary w niebie zaglądają na tę ludzką ziemię.

A Zosi, gdy patrzy na te wszystkie cuda, serce się tak ściska, tak strasznie boleśnie...

Odwraca się nagłym ruchem, poomacku szuka zapałek i zapala świecę na biurku. Z bocznej szuflady wydobywa podłużną fotografię i wpatruje się w nią przy drżącym płomyku, fotografia zdradzona i porzucona przez siostrę jej przypadła w spadku.

— Mój Boże, Boże — szepcze Zosia — nie, nie, to przecież niepodobna.

Tak, ona Zosia, ona jedna w swej gorącej dziecięcej wierze, ona pojąć, ona zrozumieć nie może, aby tyle błagań modlitewnych spadło w pustą bezdeń, nie budząc echa... A przecież opowiadał naoczny świadek... a przecież uwierzyli wszyscy i uwierzyła tamta, narzeczona i świat cały i narzeczona pogrzebali go i zapomnieli.

Łzy sączą się po twarzy dziewczęcia, jedna za drugą, ciężkie łzy.

Nie płakała już dawno i oto dziś, w ten wieczór raz do roku, w święto radości, szczęścia i pojednania, pragnęło by się mieć wszystkich ukochanych wokół siebie... i taki ból i taki szloch nurtuje w piersiach i taki spazm chwyta za gardło, że Zosia rzuca fotografię do szuflady, wspiera głowę na krawędzi biurka i łka długo, rozpaczliwie, żałośnie.

A potem podnosi w górę bladą, zalaną łzami twarzyczkę i podnosi błagalne, ufne źrenice ku wizerunkowi Ukrzyżowanego nad łóżkiem. W słabem, migotliwem oświetleniu zdaje się uśmiechać do niej ta litosna, umęczona twarz na starem płótnie, a serce wytkawszy swój ból serdeczny napełnia się po brzegi ciszą i ukojeniem.

— Boże zmiłuj się, zlituj się... — modli się Zosia i jak ptak stula ramionczka i dłonie splecione przyciska do piersi.

— Panienko!

Zosia pospiesznie wyciera oczy chusteczką i odwraca się od światła.

— Panienko... pan prosi do siebie.

W kancelaryi zastaje oboje rodziców, matka w omączonym fartuchu stoi przy stole, ojciec wielkiemi krokami przechadza się wzdłuż pokoju.

— Tatuś kazał mię zawołać.

Ojciec na całą odpowiedź wyciąga ku niej rozwinięty telegram.

— Przyniesiono przed chwilą...

Zosię przebiega dreszcz lęku. Zbliża się do lampy i odczytuje: „Haparanda. — Powracam — zawsze wasz Stanisław".

I stoi tak wpatrzona w ten świstek papieru, skamieniała, kosmyk włosów spadł jej na oczy i nie odczuwa nic, ale to literalnie nic, ani radości, ani zdumienia, jest ogłuszona.

Z osłupienia wyrywa ją nagle głos ojca, który chodzi wciąż po pokoju, zdenerwowany, podniecony.

— No tak... wszystko wesoło się dzisiaj składa, miły będziemy mieć wieczór wigilijny... ani słowa... jedna nieprzyjemność więcej...

Córka patrzy na niego rozszerzonemi źrenicami.

— Tatusiu — wybucha — tatusiu... jak ty możesz tak mówić! Tatusiu... Stanisław powraca, zdrów, żywy!

Głos jej ma brzmienie nienaturalne, wysokie i nagle załamuje się. Dziewczynie braknie tchu, łzy dławią w gardle. Jeszcze chwila a popłyną z oczu i zdradzą tę długie lata w sercu chowaną tajemnicę.

— Wszystko to ładnie, moje dziecko.. ja również cieszę się, że Okęcki żyw i zdrowy, lubię go i szanuję głęboko... ale pomyśl co my mu powiemy, gdy się tu zjawi, to może stać się lada dzień, lada godzina... W jakim świetle my wobec niego? Wanda?...

— Ach! Wanda...

Zośka w swojej radości zapomniała o tem, tak przecież Wanda... jak mogła nie pamiętać.. przecież on do Wandy wraca. — Stoi nieruchoma, zaciska dłonie kurczowo, a w małej jej główce myśli kłębią się, plączą...

Mój Boże... on wraca... przeżył tak wiele, przecierpiał tak wiele, tęsknił, powraca... cóż mu powiemy?

— Tatusiu. co będzie?...

— No, trudno... musimy się z losem pogodzić... ale przykre to będzie, dla nas bardzo przykre... cóż miała właściwie dziewczyna robić, mieliśmy wiadomości pewne, że zginął... powipien, jeżeli ma trochę rozumu...

— Wszystko to bardzo nieprzyjemne, moi drodzy — zamyka posiedzenie matka. — Namyślajcie się, radźcie ale ja muszę iść do kuchni, bo ta... Czyś ty Zosiu skończyła już choinkę?

— Nie, mamo.

— Więc kiedy myślisz to zrobić właściwie? Jakaś doprawdy dziwna jesteś dzisiaj.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Zosia rokrocznie ubiera w wielkim salonie zagajowskiego dworu wielką choinkę dla dzieci z zaimprowizowanej przez siebie ochronki. Biedne malce cieszą się na to już od tygodnia, a ona tak zawsze cieszy się ich radością.

W całym domu rozbrzmiewają znowu zegary, gdy dziewczyna staje na progu pokoju. Wskakuje na krzesło i zapala wiszącą naftową lampę. Ogromny salon wyłania się z mroków — sztywne fotelr, inkrustowane i niesamowicie długa kanapa, kryta czerwonym rypsem, kilka palm, serwantka, błyszcząca kryształami, zegar z tarczą herbową, świeczniki z bronzu, wzdłuż ścian w ciemnych ramkach malutkie reprodukcye Watteau'a — wdzięczą się pasterze i pasterki, kolombiny i pierroci, ten światek zamierzchłych dni, mały, płytki, sentymentalnie frywolny, owiany smętną melancholią srebrzystego kolorytu, a w kącie koło pieca pełna prostoty „Modlitwa przy obiedzie" Chardina.

Pomiędzy oknami wielka jodła, nawpół przybrana, napełnia pokój świeżą wonią lasu — na stole, na dużej tacy piętrzą się stosy jabłek, orzechów, cukierków, papierowych koszyczków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Znajdujemy się szczęliwie w drugim już tygodniu poetycznie usposabiającego maja, ale chyba trudno kronikarzowi być zbyt majowo nastrojonym, jeśli się zważy, że Weronika uparła się, aby stanąć do konkursu piękności, ogłoszonego przez *Nowości Illustrowane* i swego Bogu ducha winnego tyrana zamęcza zapytaniami, w jakiej pozie ma kazać odbić swą wdzięczną postać, aby tem pewniej uzyskać nagrodę. Nie udało się małżonkowi zostać laureatem fundacyi Nobla, a choćby w ostatecznym wypadku i Jerzmanowskiego, może więcej szczęścia mieć będzie jego połowica. Pozatem zarząd drukarni każe już w dniu 1. maja napisać w całości kronikę, która ujrzy światło dzienne z datą 12. maja, aby podołać zadaniu, prócz innych przyrodzonych zdolności trzeba być obdarzonym także duchem proroczym i módz prawie na dwa tygodnie naprzód przewidzieć to, co się może stać, aby kronika mogła mieć pozory przeglądu tygodniowego. A tu jak na złość, nawet o pogodzie nic stałego powiedzieć nie można, jest ona zmienną, niczem stara panna i tak jak ona grymaśną. Obeszło się w początkach wiosny bez owych gwałtownych mrozów, zapowiadanych przez metereologów z Wieliczki, gdzie ludzie znają się nie tylko na soli, ale i na pogodzie (pokazuje się z tego, że niebardzo!... *przyp zecera*), ostatnie dni kwietnia były najzupełniej wiosenne, przyniosły nam bowiem bigos atmosferyczny z wyjątkiem jedynie śniegu którego kontygent tegoroczny został już widocznie w zupełności wyczerpany. Pogoda zmieniała się siedmnaście razy dziennie, stało się to powodem licznych zakatarzeń, a ludziska kichali tak zawzięcie, że człowiek mimowoli oglądał się ze strachem dokoła siebie, czy to przypadkiem nie wybuch jakiej nowej bomby, gdy zaś nie dostrzegł nic podejrzanego na tym padole podatków i dodatków do nich, z jeszcze większym strachem kierował wzrok w przestwora w obawie, że może znowu jaki połamany samolot włoskiej marki spada mu na głowę.

Nie wiadomo jak i w co się ubrać, aby się uchronić od przeziębienia, bo garderoba, tak zimowa jak i wiosenna odmawia posłuszeństwa, okazując coraz to liczniejsze otwory wentylacyjne i to w miejscach, gdzie ich być nie powinno. Za dawnych, lepszych czasów, wracało się szybko do domu, kazało się rozpalić dobrze w piecu i wypędzało się ze siebie ziąb gorącą herbatą z rumem i cytryną, dziś na taką kuracyę może sobie pozwolić chyba miliarder, skoro z milionerami przestaliśmy się wogóle liczyć, poza tem, gdyby ktoś nawet chciał w ten sposób postąpić i bezpośrednio po pierwszym znalazł nawet na to odpowiednie kredyty, naraziłby się na posądzenie o brak piątej klepki, bo chyba inaczej nie powiedzieliby sąsiedzi o kimś, kto całą zimę przebył w nieopalonem mieszkaniu, a każe palić w piecu, gdy kalendarz zwiastuje maj.

Nie ulega kwestyi, że z wyżej przytoczonych powodów tego roku i słowiki nie śpiewają tak uroczo, jak po inne lata, również zakatarzone, o ile nie spotkała ich jakaś większa przykrość, w guście takiej naprzykład, jak podana przez *Kuryerka*, że Bałtyk na wschodnich swych wybrzeżach wyrzucił całe mnóstwo ciał skrzydlatych śpiewaków, które zdaniem autora notatki leciały do Polski, ale widocznie drogą okrężną i pomyliły sobie drogę, bo dotąd zwykle przybywały do nas od strony południa. W parze ze śpiewem słowików osłabło także i natchnienie naszych poetów, ostrożność i piecza o swe zdrowie nie pozwala tym drugim delektować się trelami skrzydlatych swych kolegów, urządzając sobie bowiem podobną gratisową biesiadę artystyczną *sub Jove*, gdzieś w parku Jordana lub Krakowskim nic łatwiejszego, jak nabawić się chrypki lub kataru, nie wykluczając powrotu do domu bez wierzchniego okrycia i portfelu, gdyż bandyci, wprawdzie tylko krajowego chowu, grasują u nas bezkarnie i nie robią sobie nic z wszelkich pogróżek władzy bezpieczeństwa zreformowanej na sposób angielski i odznaczającej się angielską flegmą i anielską cierpliwością.

Całe szczęście, że pan minister Grabski dał nam bezpłatne, a bardzo przyjemne zajęcie, pozwalające na zabicie czasu, którego każdy z nas, szanując ustawę o ośmiogodzinnym dniu roboczym, ma aż za dużo do dyspozycyi. Nie małą przyjemność sprawia każdemu przeliczanie marek polskich na złote polskie i odwrotnie, porównywanie ich wartości z przedwojennemi koronami i obliczanie, ile też w myśl uchwały komitetu Ekonomicznego rady ministrów zapłacimy komornego, uwzględniając, że sto dawnych koron równa się stu sześciu złotym polskim, pomijając oczywiście wszelkiego rodzaju świadczenia dodatkowe, obowiązujące aż do chwili, gdy nowy czynsz mieszkalny dojdzie do wysokości dawnego. Przy tej sposobności nasuwa sie przypuszczenie, że panowie ministrowie muszą być chyba sami kamienicznikami, co im zresztą powinno przyjść łatwiej, niż zwykłemu śmiertelnikowi, na którego może spaść wprawdzie, ale nie cała kamienica, lecz jedynie jej gzyms, gdy taki pechowiec przechodzi ulicą. Z bólem w sercu wspominamy dawną naszą, raczej austryacką koronę i ani nam się w głowie nie chce pomieśyić, że ten świstek, uważany przez nas niegdyś za bezwartościowy, zrównano dziś ze złotym polskim i każą za niego płacić ośm tysięcy marek.

Dochodzi się przy tej sposobności do różnych ciekawych wniosków i tak naprzykład jeden z naszych znajomych, który w chwili wybuchu wojny pobierał trzysta austryackich koron miesięcznej gaży, przeliczywszy obecne swoje pobory na złote polskie wedle normy urzędowej dowiedział się z niemałem zdziwieniem, że pracuje za pięćdziesiąt złotych polskich miesięcznie, czyli za szóstą część tego, co pobierał przed wojną.

Na te przeliczenia mieliśmy dość czasu jeśli się zważy, że kalendarz na miesiąc maj przedstawia się, jak następuje:

1. maja, wtorek, święto międzynarodowe.
2. środa, odpoczynek po święcie.
3. czwartek, urzędowe święto.
4. piątek, dzień pracy dla tych, którzy nie mają nic lepszego do roboty.
5. sobota, święto mniejszości narodowej wyznania neutralnego.
6. niedziela.
7. poniedziałek, blaumontag.
8. wtorek, krakowskie święto św. Stanisława.
9. środa wyjątkowo dzień pracy.
10. czwartek, uroczystość Wniebowstąpienia;

A w piątek, dnia 11. maja przyjazd marszałka Focha, o ile oczywiście nie zajdzie jakaś zmiana, dotychczas bowiem w przeciągu czterech dni termin jego przyjazdu zmieniano trzykrotnie, a trudno przewidzieć, ile razy to jeszcze może nastąpić. Celem należytego uczczenia sympatycznego gościa, który zabawić w Krakowie ma trzy dni, zawiązał się lokalny komitet i wezwał obywatelstwo do żywszego zamanifestowania swej radości, niż to miewało miejsce dotychczas z okazyi podobnych okoliczności. Zwłaszcza dekoracya miasta flagami pozostawia zwykle bardzo wiele do życzenia. Kończy się zwykle na tem, że magistrat wywiesi na swych budynkach kilkanaście chorągwi, mających wprawdzie wartość historyczną, sięgają bowiem podobno jeszcze czasów Wolnego Miasta, ale pod względem czystości i świeżości odpowiadają zupełnie średniowiecznej patynie śmieci i kurzu, pokrywających nasze miasto.

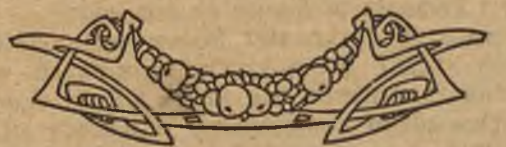
Wogóle Kraków robi na przyjezdnego wrażenie bardzo wojenne, choć żyjemy już w pokojowych czasach. Ulice i bruki pełne są dziur i rozpadlin, które mający bujną fantazyę łatwo mogą uważać za pozostałości po dawnych rowach strzeleckich, a choć jenerał Foch jest z zawodu żołnierzem i podobny pietyzm dla pamiątek wojennych może go tylko cieszyć, byłoby wskazanem, aby, ze względu na dobrą opinię miasta i jego własne zdrowie tych osobliwości zupełnie mu nie pokazywano.

Ze stanem, w jakim znajdują się miejskie chodniki i bruki, będące chlubą Komisyi drogowej, zgadzają się zupełnie i realności miejskie, tak publiczną, jak i prywatną własność stanowiące, a zasługujące w pełnej mierze na nazwę „drapaczy", wprawdzie nie chmur, bo do tych im jeszcze daleko, ale za to oka ludzkiego. Ich zewnętrzny wygląd jest tak odrapany, a nikt nie postara się o to, aby złemu zaradzić, bo każdy tłómaczy się zbyt wysokiemi kosztami, jakie za sobą pociągnąć musiałoby choćby po wierzchowne tylko odnowienie. Kamienicznicy czekają zresztą na nową ustawę mieszkaniową, przygotowywaną obecnie we Warszawie, która pozwoli im na przeprowadzenie wszelkich przeróbek kosztem lokatorów. Poza tem domy, zwłaszcza w śródmieściu posiadają tak ciemne i strome schody, że naprawdę trzeba się drapać po nich, chcąc się dostać na piętro, w starych murach nie brak nadto żywego inwentarza, uprzyjemniającego cierpiącym na bezsenność długie nocne godziny, nie mając bowiem nic lepszego do roboty, bodaj mogą się drapać. Jeśli się do tego doda, ze niektóre obywatelki miasta Krakowa odznaczają się bardzo łagodnym temperamentem, prowadzącym do częstych wojen domowych, tak w łonie poszczególnych małżeństw, jak i na tle sąsiedzkich stosunków, przyczem słyszy się dość często słowa: „Tej małpie wydrapałabym z przyjemnością oczy!..", a przyznać musimy, że niemal każdy krakowski dom to w samej rzeczy „drapacz".

Oczywiście z okazyi przyjazdu francuskiego gościa zostanie miasto obficiej niż zwykle skropione „Palugayem", o ile nie wyręczy go w tej czynności deszcz, poza tem zaś odbyć się musi w sali Starego Teatru kosztem miasta wyżerka bezpłatna dla zgłodniałych gości, którzy żadnego obchodu bez podobnego dodatku nie uznają, a wiedząc o tem, że dobry apetyt zaproszonych sprawia radość gospodarstwu, na kilka dni przed tem w celu trainingu przeprowadzają głodówki i obcego przybysza mogą w samej rzeczy zadziwić prawdziwie wilczym apetytem i bernardyńskiem pragnieniem, łączącemi się wspólnie w następstwie w objawy morskiej choroby bez potrzeby opuszczania murów miasta Krakowa, a nawet zmuszając do potrzeby trzymania się tych murów, aby nie utracić równowagi, oczywiście cielesnej. Ostatnio zauważyć można było podobne objawy z okazyi bankietu wydanego na cześć jenerała Le Ronda. Ubikacye, sąsiadujące z salą Starego Teatru, mogłyby dużo o tem powiedzieć.

Staropolska gościnność rozwija się i po wojnie w najlepsze, ale pod tym tylko warunkiem, jeśli stać się to może na cudzy koszt, o ile bowiem dany osobnik pokrywać musi sam własne swoje wydatki, kurczy się jak może i odmawia sobie prawie wszystkiego. Ale temu nie można się dziwić, jeśli się zważy, z jak horendalnemi cenami spotyka się człowiek na jadłospisach naszych restauracyi. Swojego czasu nie mogło się nam pomieścić w głowie, jak można było płacić w czasie oblężenia Paryża stodwadzieścia pięć franków za gęś, dzisiaj jednak nie dziwi nikogo, jaśli mu za talerz wody ciepłej, nazywającej się szumnie rosołem, policzą ośmset marek. Dodajmy do tego pieczeń, miniaturowych rozmiarów i bułkę lub kromkę chleba, a za taki skromny obiadek, po którym czuje się dopiero apetyt na coś pożywnego, zapłaci się tyle, iż z dziesięciu tysięcy niewiele zostanie. Komisya aprowizacyjna, zatwierdzając cenniki potraw, idzie restauratorom na rękę, zgadzając się na ciągłe podwyżki, im to jednak nie wystarcza i ustawicznie narzekają, że muszą dokładać, ale tak mówiąc, mają, zdaje się, na myśli swe oszczędności, ulokowane gdzieś w bezpiecznem miejscu.

W takich warunkach niema się i czego dziwić, jeśli ma się do czynienia z bezrobociami, których powodem najczęściej walka o kawałek codziennego chleba. Takie podłoże ma obecnie strajk czeladzi piekarskiej, ale tutaj rozchodzi się już o całe bochenki chleba, a nie o jego mizerny kawałek. Poza tem mieliśmy strajk w Operze i Operetce i wśród adeptów malaryi i rzeźbiaryi, oba już zlikwidowane. Z tych pierwszy miał podkład ekonomiczny, drugiego powodem było nieprzyznanie krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych charakteru akademickiego, choć posiadała go już za austryackich czasów. Nasi warszawscy suwereni nie mogli jednak powziąść odpowiedniej decyzyi, przyszło do sgoru między Sejmem a Senatem, w rezultacie przecież zanosi się na pomyślne załatwienie sprawy.





Trzeci maja we Lwowie: Msza polowa na Placu Maryackim. Wojewoda Grabowski (x), zastępca Dow. Okręgu Korp. Thulie. Fot. M. Münz, Lwów.

w r. 1866. tamże studya teologiczne, w rok później zaś przeniósł się do Rzymu i wstąpił do Zakonu O O. Zmartwychwstańców, gdzie w r. 1873. otrzymał święcenia kapłańskie. Po ośmiu latach pracy misyjnej w Bułgaryi, co spowodowało go do przyjęcia święceń w obrządku wschodnim, osiadł w Rzymie, gdzie kierował Polskiem Kollegium, zajmując się pozatem pracami literackiemi z zakresu historyi i teologii. Z obszerniejszych prac jego zasługuje na szczególniejsze uznanie *Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego* i *Historya Kollegium Polskiego*, z teologicznych zaś uporządkowanie i wydanie w języku łacińskim prac ks. Piotra Semenenki, *Mistyki, Ćwiczeń duchownych* oraz obrona jego systemu filozoficznego i ascetycznego. W życiu kolonii polskiej w Wiecznem Mieście brał ks. Smolikowski bardzo wybitny udział, stykając się z osobami, nadającemi mu ton i kierunek, pod jego okiem kształciły się jednostki, zajmujące dziś w Kościele pryncypalne miejsca.

W uroczystości jubileuszowej wzięli udział między innymi: Arcybiskup Teodorowicz, ks. biskup Sapieha, jenerał O. O. Zmartwychwstańców ks. Zapała, wśród licznych listów i pism gratulacyjnych odczytano także pismo Kardynała Pompiliego, jeneralnego wikaryusza Rzymu.

Trzeci maja we Lwowie.

Rocznicę trzeciego maja obchodzono uroczyście we wszystkich miastach Polski. Po za Warszawą, gdzie obchód ten, połączony z uroczystością odsłonięcia pomnika ks. Józefa Poniatowskiego w obecności Drogiego Gościa, marszałka Focha, zamienił się w potężną manifestację narodową, święto 3 Maja miało przebieg niezwykle uroczysty we Lwowie. Tam połączono je z uroczystością wręczenia sztandaru 63 roku przez weteranów-powstańców lwowskiej Szkole Kadetów. Uroczystość odbyła się pod kolumną Mickiewicza, a wzięli w niej udział oprócz przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych oraz delegatów stowarzyszeń i instytucyi niezliczone tłumy ludzi.



Trzeci maja we Lwowie: Przemówienie prof. Syroczyńskiego, uczestnika powstania, w czasie uroczystości wręczenia sztandaru 63. roku lwowskiemu Korpusowi Kadetów. Fot. M. Münz. Lwów.

Uroczystość sokolska we Lwowie.

Oddział konny lwowskiego Sokoła-Macierzy obchodził w ubiegłym tygodniu niezwykłą uroczystość wręczenia albumu pamiątkowego swemu przewodniczącemu pułk. dr. Teodorowi Bałłabanowi. Po g. 10-ej przedpoł. na odkrytej ujeżdżalni „Sokoła“ zebrało się kilkaset osób. Członkowie „Sokoła“ jawili się bardzo licznie, a obok nich przedstawiciele Uniwersytetu, Izby lekarskiej oraz adwokackiej, wojskowości, sądownictwa, prasy i delegaci różnych towarzystw oraz instytucyi.

Gdy przy dźwiękach muzyki wojskowej na arenę ujeżdżalni wyjechał oddział konny pod wodzą p. Beacocka i ustawił się frontem do trybuny, przepełnionej publicznością, do dra Bałłabana przemówił prezes „Sokoła-Macierzy“ dr. Borowiec. Na przemówienie to odpowiedział wzruszony dr. Bałłaban, dziękując za uznanie i owacyę.

Nastąpiły z kolei ćwiczenie w jeździe konnej oraz popisy, jak rzucanie koszyków, nizanie pierścieni na lance i zrywanie kokardy. Ćwiczenia kierowane przez p. Beacocka, były bardzo sprawne i efektowne.



Uroczystość sokolska we Lwowie: Oddział konny Sokoła-Macierzy pod wodzą p. Beacocka. Stoją: dr. Bałłaban (x), dr. Borowiec (xx), pułk. Starkiewicz (xxx). Fot. M. Münz, Lwów.

„Zmartwychwstanie" K. H. Rostworowskiego na scenie krakowskiej.

W dobie upadku współczesnej twórczości dramatycznej Karol Hubert Rostworowski pozostał właściwie jedynym dramaturgiem polskim w wielkim stylu, dążącym z pełną świadomością środków i celów do odrodzenia polskiego teatru, do stworzenia odrębnego, nowego typu dramatu. Wsparty głęboką kulturą poetycką poszedł rozwój twórczości K. H. Rostworowskiego w kierunku osiągnięcia właściwego, swoistego wyrazu dramatycznego, oraz opracowania własnej, odrębnej formy. Po szeregu próbach odnajduje Rostworowski własny wyraz i własną formę w „Judaszu"



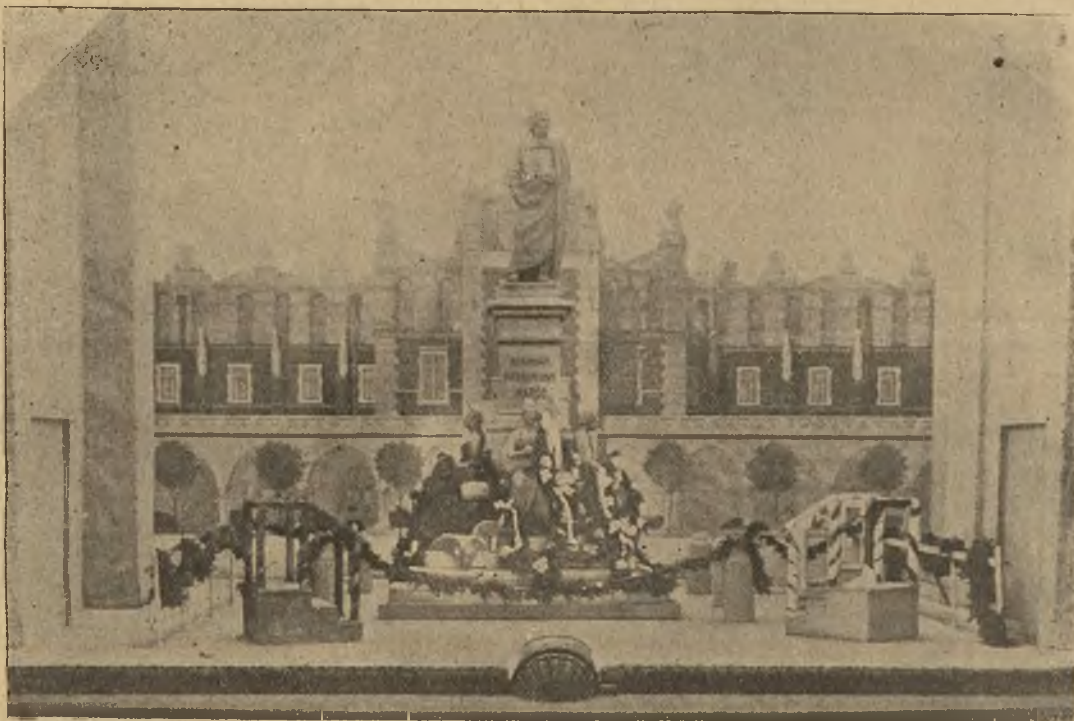
Uroczystość sokolska we Lwowie: Sokół p. Floryański, nagrodzony w nizaniu pierścieni na lancę. Fot M. Münz. Lwów.

i „Kaliguli". Po tych dwóch dramatach „człowieka" przychodzi dramat „ludzkości" w „Miłosierdziu" i „Strasznych dzieciach". Punkt zwrotny w twórczości Rostworowskiego stanowi „Zmartwychwstanie", wystawione na scenie im. J. Słowackiego w Krakowie. Ta „fantazya dramatyczna" nie wiąże się z żadnym z poprzedzających utworów ani pod względem treści ani pod względem formy. W treści przechodzi autor „Judasza" po raz pierwszy od motywów ogólno-ludzkich do tematu związanego ściśle z aktualnemi przeżyciami duszy narodowej. W formie zaś daje coś pośredniego między mickiewiczowskiemi „Dziadami" a „Legionem" Wyspiańskiego — szereg luźnych, pewną tylko wspólną ideą związanych obrazów. Ideą tą jest mickiewiczowskie wyznanie wiary narodowej, jego ewangelia czynnej miłości Ojczyzny. W „Zmartwychwstaniu" dał Rostworowski konfrontacyę ideologii mickiewiczowskiej, ucieleśnionej w wizyi ożywionego posągu Wieszcza z Rynku krakowskiego — ze współczesnością polską.

„Zmartwychwstanie" wystawiono na scenie krakowskiej z wielkim pietyzmem. Nowe dekoracye, wykonane przez braci Pronaszków, stworzyły doskonałe ramy dla dzieła Rostworowskiego. Zwłaszcza 1-szy akt z widokiem Sukiennic i pomnikiem Mickiewicza na Rynku, gdzie odbywa się uroczystość zmartwychwstania Polski — świadczy, że dyrekcya teatru im. Słowackiego nie szczędziła trudów i kosztów, aby wystawą dostroić się do wysokiego poziomu utworu Rostworowskiego. Również i artyści stanęli w zupełności na wysokości zadania.



„Zmartwychwstanie" K. H. Rostworowskiego na scenie krakowskiej: K. H. Rostworowski.



„Zmartwychwstanie" K. H. Rostworowskiego na scenie krakowskiej: Na Rynku krakowskim (dekoracya 1-go aktu).



„Zmartwychwstanie" K. H. Rostworowskiego na scenie krakowskiej: Na Wawelu (dekoracya aktu 4-go).

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Narcyz (pseudonim) z Ziemi lubelskiej



Marja Ramocka, Bydgoszcz



Nela Dolezakówna, Kraków

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem**. Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej, a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.„ **w gronie najpiękniejszych kobiet**. Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych“**. Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych“, 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe**. — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.



Lucylla Sowińska, artystka filmowa „Zrzeszenie niezależnych“ (Bydgoszcz)

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis): ....

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie) ....

Miasto (ostatnia stacya pocztowa) ....

Ulica .... Nr. ....

Kim jesteś? Kim być możesz?

Swój charakter, zalety, wady, zdolności, skłonności i przeznaczenie jak również zainteresowanej osoby. Przyślijcie swój charakter pisma lub zainteresowanej osoby, zakomunikujcie imię, rok i miesiąc urodzin i ile osób najbliższej rodziny, na tych danych otrzymacie od uczonego psychografologa Szyller-Szkolnika (autora prac naukowych) listem poleconym naukową, szczegółową analizę charakteru, określenie ważniejszych zdarzeń życiowych. Odpowiedź na szczerze zadane pytania; cenne wskazówki i rady, jak również horoskop, ułożony przez słynne medyum Melle Evigny (Miss Chasse). Do tego jeszcze najnowszy utwór Ch. Szyllera-Szkolnika, niewielka lecz treścią bogata książeczka „Tajemnica powodzenia“. Rady wskazówki, uwagi, jak żyć, postępować, aby osiągnąć powodzenie, dobrobyt, niezależność, zadowolenie i zwycięsko przeciwstawić się losowi Praca naukowa p. Szyllera-Szkolnika, zaszczycona mnóstwem odezw i podziękowań w zaszczytnych pismach krajowych i zagranicznych.

„ŚWIAT“ z d 22 sierpnia z. r. Medjum określało charaktery, zdolności, imiona nazwiska obecnych. Odpowiadało na różne pytania myślowe. Wśród widzów znajdował się i redaktor pisma naszego p Stefan Krzywoszewski, który napisał własnoręcznie kredą na podanej mu tabliczce nazwisko pewnej osoby, medjum z zawiązanymi oczyma, nic nie widząc, napisało na drugiej stronie tejże tabliczki to samo nazwisko. — Eksperyment ten wywołał ogólny podziw. „PRZEGLĄD ŚWIATOWY“ Nr. 7. z 15. października r. ub. „W obecności wybitniejszych przedstawicieli wojskowości — świata lekarskiego i prasy rozpoczął p. Szyller-Szkolnik swe doświadczenia — wzbudził ogromny podziw swoim seansem. Jako sprawozdawca obowiązany jestem wyrazić prawdziwe i zasłużone uznanie dla czysto naukowych doświadczeń p. Szyllera. Najskrupulatniejsza obserwacja i ścisła kontrola, przeprowadzona przez znajdujące się towarzystwo wydała wyniki niezmiernie przychylne dla p. Szyllera. Medjum w zdumiewający sposób odgadywało imiona i nazwiska obecnych, jak również dokładnie opisywało sylwetki osób poszukiwanych znajdujących się daleko poza granicami kraju. „Stwierdzamy, że seans wypadł imponująco“.

Analizę wysyła się po otrzymaniu 10 tysięcy marek. Jeżeli wziąć pod uwagę, że wykonanie analizy wymaga kilku godzin poważnej, umysłowej pracy, koszty ogłoszeń, pocztowe i t. p. wyżej oznaczona suma nie może wydawać się zbyt wysoką. Szyller-Szkolnik ze słynnem medjum Melle Evigny (Miss Chasse) przyjmuje engagementa do teatrów stolicy i prowincji również zaproszenia na prywatne wieczory mistyczno-medjumiczne. Na zebrania naukowe i koncerty dobroczynne bezinteresownie. Dla badań osobistych przyjmuje od g. 12–7 pp. Nadzwyczaj ciekawej treści książka „Katalog Illustrowany“ darmo. Na wysyłkę dołączyć znaczek pocztowy Adres: Psychograf, Szyller Szkolnik, Warszawa – Wydawnictwo „Świt“ Piękna 25, tel. 506-09.

O G Ł O S Z E N I A

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.